

DONATO NDONGO BIDYOGO

Wykład plenarny wygłoszony na Uniwersytecie Warszawskim podczas konferencji

INTELEKTUALIŚCI AFRYKAŃSCY WOBEC DOŚWIADCZENIA DYKTATUR

z wprowadzeniem Renaty Díaz-Szmidt

21 października 2016 r.

Donato Ndongo Bidyogo (12.12.1950) jest pisarzem i dziennikarzem z Gwinei Równikowej tworzącym w języku hiszpańskim. Od kilkudziesięciu lat przebywa na uchodźstwie politycznym w Hiszpanii z powodu prowadzonej działalności opozycyjnej względem gwinejskiego prezydenta i elity rządzącej. Opublikował dotąd trzy powieści: *Las tinieblas de tu memoria negra*, (Mroki twojej czarnej pamięci) z 1987 r., *Los poderes de la tempestad* (Moc burzy) z 1997 r. i *El Metro* (Metro) z 2007 r., które zostały już przetłumaczone na język angielski i francuski. Jest również autorem opowiadań tłumaczonych na język portugalski oraz poetą. Jego twórczość literacka została już nagrodzona kilkoma prestiżowymi nagrodami literackimi, m.in. I Nagrodą Amadou Ndoeye (2015).

Dorobek Donata Ndongo Bidyogi obejmuje nie tylko twórczość literacką, ale także naukową i publicystyczną. W 1977 r. opublikował książkę historyczną: *Histo-*



Donato Ndongo Bidyogo w Krakowie
(fot. Renata Díaz-Szmidt)

ria i tragedia de Guinea Ecuatorial (Historia i tragedia Gwinei Równikowej), jest współautorem książki *España en Guinea* (Hiszpania w Gwinei) z 1998, a w 1984 r. opracował pierwszą antologię literatury Gwinei Równikowej (*Antología de la literatura de Guinea Ecuatorial*), która jest uważana za „kamień węgielny” literatury narodowej. Jako dziennikarz był korespondentem Hiszpańskiej Agencji Prasowej (EFE) w Afryce Środkowej, prowadził programy o historii i kulturach Afryki w radio hiszpańskim (Radio Exterior de España) oraz pisał cykliczne artykuły do takich gazet i czasopism, jak, m.in.: „El País”, „ABC”, „Diario 16”, „Historia 16”, „Índice” i „Mundo Negro”. Sprawował również funkcję redaktora naczelnego założonego przez siebie pisma „África 2000” oraz czasopisma „Palabras”.

W 1983 r. założył w Madrycie Hiszpańskie Towarzystwo Afrykanistyczne. Dziesięć lat później zorganizował pierwsze Hispanistyczne Sympozjum Afrykanistyczne w Madrycie, a następnie I i II Dni Badań Afrykanistycznych na Uniwersytecie w León (2000, 2001) oraz I Spotkanie z Pisarzami Afrykańskimi na Uniwersytecie w Murcji w 2000 r.

W latach 1981–1985 był dyrektorem Kolegium Uniwersyteckiego ‘Nuestra Señora de África’ w Madrycie, a następnie, w latach 1985–1992 Hiszpańsko-Gwinejskiego Centrum Kulturalnego w Malabo. W latach 2000–2003 powierzono mu kierowanie Centrum Studiów Afrykanistycznych na Uniwersytecie w Murcji. Od 2005 do 2008 r. wykładał na Uniwersytecie w Missouri jako profesor wizytujący. W latach 1987–1995 pracował także dla Międzynarodowego Centrum Badań nad Cywilizacją Ludów Bantu (CICIBA) w Liberville w Gabonie.

Donato Ndongo Bidyogo prowadził również aktywną działalność polityczną. W 1983 r. założył opozycyjną względem gwinejskiego rządu Partię Postępu Gwinei Równikowej (PPGE). W opinii Bidyogo, oficjalna polityczna dekolonizacja kraju w 1968 r. nie przyniosła jego mieszkańcom rzeczywistej wolności. Władzę objął wtedy Francisco Macías Nguema. W czasie jego jedenastoletnich autorytarnych rządów wymordowano 1/3 mieszkańców Gwinei, przede wszystkim inteligencję: nauczycieli, lekarzy, inżynierów i prawników oraz opozycjonistów, których przed egzekucją poddawano okrutnym torturom. W 1979 r. siostrzeniec dyktatora i obecny prezydent, Teodoro Obiang dokonał zamachu stanu i przejął władzę. Celem objęcia przez niego rządów nie była jednak chęć przeprowadzenia demokratyzacji kraju, ani zapewnienie jego mieszkańcom przestrzegania podstawowych praw człowieka. Pod rządami Obianga umierają kolejne pokolenia torturowanych, zastraszanych i udręczonych Gwinejczyków. Opozycjoniści giną w niewyjaśnionych okolicznościach, a w owianym mroczną sławą więzieniu Black Beach praktykowane są tortury.

Tragiczna historia postkolonialna naznaczona krwawymi dyktaturami Maciasa i Obianga, uniemożliwiła rozwój miejscowych elit intelektualnych oraz utrzymywanie kontaktów nie tylko z akademicką społecznością międzynarodową, ale także

z szeroko rozumianym światem kultury. Kraj boryka się z bolesnymi dla obywateli trudnościami natury politycznej – traumatycznymi doświadczeniami dyktatur, brakiem wolności słowa oraz prześladowaniem przedstawicieli opozycji. Problemy ekonomiczne mają swoje źródło w skorumpowaniu i demoralizacji elit rządzących, czego konsekwencją jest nierówna dystrybucja bogactw, w które obfituje gwinejska ziemia, oraz brak dostępności podstawowych dóbr. Problemy społeczne generuje z kolei niezorganizowany system edukacji i opieki zdrowotnej oraz brak odpowiedniej infrastruktury. Wymienione bolączki Gwinejczyków stanowią tematyczną oś literackiej i publicystycznej twórczości Donato Ndongo Bidyogo. Oprócz wysokich walorów estetycznych i artystycznych, twórczość ta wyróżnia się wysokim stopniem zaangażowania społecznego, etycznego i politycznego jej Autora.

* * *

Dzień dobry Państwu,

Z całego serca dziękuję Uniwersytetowi Warszawskiemu za możliwość bycia tutaj dzisiaj razem z Państwem oraz dr Renacie Díaz-Szmidt za zaangażowanie w przygotowanie mojej wizyty.

Często zadaje mi się pytanie, czemu służy literatura. Patrząc z boku, może wydawać się czymś niezrozumiałym zarówno podejmowanie trudu pisania, jak i spędzanie wielu godzin w całkowitym odosobnieniu, w czasie których pisarz zastanawia się nad pragnieniami i frustracjami człowieka, starannie dobierając najwłaściwsze słowa, zdolne pobudzić serca i umysły czytelników, przy czym, bardzo często nie widząc oczekiwanych owoców swojej pracy. Postrzegając pisanie w ten sposób, jawi się ono jako zadanie dla głupców lub próżniaków. Muszę jednak wyznać Państwu, że moim marzeniem od wielu lat było odwiedzić Polskę i zobaczyć na własne oczy, a nie tylko w wyobraźni, dzięki relacjom sporządzonym przez innych, miejsca, które były świadkami straszliwych wydarzeń – tak samo straszliwych, jak te opisane w *Jądrze ciemności* przez mojego ukochanego Conrada – przedstawionych w książkach i dokumentach oraz ukazanych w filmach, stanowiących i tak zaledwie znikome świadectwo wieków cierpienia dzielnego narodu polskiego, który nigdy nie poddawał się biernie swojemu losowi. Nigdy nie udało by mi się zrealizować mojego marzenia ze względu na skromność środków, jakimi dysponuję, gdyby nie fakt, że moje książki wpadły w ręce dociekliwych badaczy z tego Uniwersytetu – i, jeśli się nie mylę, także z Uniwersytetu Jagiellońskiego – i otworzyły ich serca na nieznaną rzeczywistość, zazwyczaj określaną jako odległa. To właśnie w ten sposób niemożliwe stało się możliwe. Moja obecność tutaj potwierdza tezę, iż podstawową rolą pisarstwa jest komunikowanie. Stąd moja podwójna radość, osobista i narodowa, wynikająca z faktu, że nawet tutaj, do tej części Europy dociera nasz skromny głos. Dzięki takim wydarzeniom jak to, w którym dzisiaj uczestniczymy, staje się on nieco bardziej słyszalny.

Jako pisarze afrykańscy wypełniamy rolę, jaką nasza odwieczna tradycja przewidziała dla trubadurów, czyli griotów, którzy nie byli ani błaznami na dworach możnowładców, ani manipulującymi widzami iluzjonistami pokazującymi usypiające seanse sztuczek, lecz twórcami i przekazicielami idei i myśli, strażnikami zbiorowej pamięci, panami słowa, których zadaniem było wyrażanie pragnień społecznych. Byli oni prawdziwymi pośrednikami między słowem a działaniem. W naszych przedkolonialnych społecznościach afrykańskich słowa nie były pustymi dźwiękami pozbawionymi znaczenia, nasza starszyzna nigdy nie mówiła jedynie po to, by mówić, wypowiedzianego słowa nie unosił wiatr, ani nie znikало ono w czarnej dziurze, mogło mieć znaczenie prawne, obligowało do zawierania kompromisu, definiowało i określało tego, kto je wypowiadał, odzwierciedlało wartości charakteryzujące daną społeczność. Dlatego tym, co odróżniało człowieka dojrzałego od młodego – bez względu na wiek biologiczny – była umiejętność krytycznego myślenia i formułowania właściwych wniosków w odpowiednim ku temu czasie oraz przekazywania idei przydatnych całej społeczności. Dlatego też plotący androny gaduła, nawet jeśli był w podeszłym wieku, nie cieszył się najmniejszym uznaniem i był uznawany za człowieka nierozsądnego, podczas gdy powściągliwemu i wyważonemu młodzieńcowi powierzano odpowiedzialne funkcje społeczne, sprawowane ku pożytkowi ogółu. Teraz, kiedy Afrykę wzbogaciło słowo pisane, odpowiednie nim władanie nabiera nowego znaczenia: pozbawione ograniczeń wynikających z kapryśków pamięci i niezależne od upływu czasu, słowo może zostać utrwalone na zawsze i ciągle przypominać nam o naszej drodze, naszym początku, kierunku podjętej wędrówki i jej zakładanym celu. Dlatego zawsze będziemy upominać się o literaturę postrzeganą jako misja, bo narracja nie ogranicza się do opowiedzenia konkretnej historii, a opowiadana historia nie wyczerpuje się w chwili, gdy kończymy jej słuchać lub gdy kończymy ją czytać. W naszym rozumieniu, musi ona być przede wszystkim przekaznikiem idei i uczuć, które skłaniają do refleksji. Nie jesteśmy szarlatanami; naszym zadaniem jest pobudzenie umysłów, zmuszenie do spojrzenia na świat z naszej własnej perspektywy, walka przeciw manipulowaniu naszą rzeczywistością. Naszym celem jest przeniknięcie w głąb umysłów, do dusz i serc, aby skłonić ludzi do działania, zdolnego odmienić naszą obecną kondycję, zgodnie z przekonaniem, że my, Czarni, nie jesteśmy na nią skazani przez fatalną dziejową konieczność.

To dlatego my, pisarze afrykańscy, piszemy i będziemy pisać pomimo wszystko. Pomimo zastraszających wskaźników analfabetyzmu, w pełni świadomi faktu, że przeczytają nas tylko nieliczni z naszych rodaków; piszemy i będziemy pisać mimo ubóstwa, w naszym przypadku sztucznie wywołanego, bo nasze kraje posiadają olbrzymie bogactwa, które nie służą jednak ich mieszkańcom; mimo przesładowań i niechęci, mimo więzienia nas, mimo uchodźstwa i zabójstw, ponieważ wiemy, że jest to nasz niezbywalny obowiązek, który musimy spełnić, teraz i za-

wsze. Doskonale wiemy, że płyniemy pod prąd, z bliska znamy ryzyko związane z dysydencją; mamy świadomość, że aby cieszyć się przyjemnościami tego świata wystarczyłoby po prostu przestać pisać albo oddać pióro na usługi władzy i jej interesów. Pamiętamy o tym. A jednak, drodzy przyjaciele, pisarz nie jest przecież zwykłym opowiadaczem bajek. Mając na względzie stan naszych uciśnionych społeczeństw, ich umęczoną i zniewoloną ludność, postrzegamy nasze zajęcie jako konieczność etycznego i moralnego zaangażowania. Jesteśmy wyposażeni we wrażliwość, która wymaga od nas dokonania wyboru: czy jesteśmy z oprawcami, czy z cierpiącymi, z katami, czy z ich ofiarami. Wobec naszej przerażającej codzienności, wydaje nam się czymś irracjonalnym i nieludzkim pozostać na nią obojętnymi, zupełnie jakbyśmy nie należeli do naszych afrykańskich społeczeństw albo jakby nasz talent znieczulił nas na ból bliźniego, który jest przecież bólem zbiorowym, jest naszym bólem. Pisarz nie jest zamknięty w kryształowej kuli, ze środka której, aseptyczny, kontempluje opisywaną rzeczywistość. Pisarz nie jest uprzywilejowanym bytem, który obserwuje świat ze szczytu wieży z kości słoniowej i rozmyśla nad literackim sposobem zabawienia dobrze odżywionych ciał. Pisarz afrykański, jeśli rzeczywiście zasługuje na to miano, jest rzeźbiarzem słowa, który wykonuje swoją pracę zanurzony w społeczeństwie i dla tego społeczeństwa. Nie zapominamy przy tym, że literatura jest sztuką, kreacją, propozycją; sztuka, aby zasłużyć na to określenie i odróżnić się od rzemiosła, od zwykłego naśladownictwa i powielania, nie może się obejść bez estetyki. Ale sama estetyka to za mało, gdyż piękno samo w sobie jest banałem zmieniającym się w zależności od mody, miejsca i czasu. W naszych afrykańskich społeczeństwach na pierwszym miejscu stawiamy przesłanie, a piękne opakowanie jest użyteczne o tyle, o ile spełnia swoją rolę przyciągnięcia uwagi i przeniknięcia do wnętrza czytelnika. Nie znamy pojęcia sztuki dla sztuki, tej sztuki, którą zamyka się w muzeach lub w pałacach bogaczy. W naszym dziele, literackim lub plastycznym, łączymy estetykę, etykę i użyteczność w nierozdzielalną całość w celu zainicjowania przemian społecznych. Wiemy, że postrzeganie sztuki w taki sposób jest trudne do zrozumienia w innych od naszego kręgu kulturowych; powoduje powstawanie uprzedzeń i stereotypów, zazwyczaj negatywnych, z którymi jednak musimy żyć, bo to właśnie w tej trójdzielnej koncepcji sztuki najlepiej wyrażają się nasze kultury i to od swojego zarania. Tak pojmowana sztuka jest dzisiaj cennym narzędziem, zwłaszcza od momentu zastąpienia oralności piśmiennictwem, kiedy jako Afrykanie zrozumieliśmy, że nie potrzebujemy pośredników, którzy wypaczają rzeczywistość zawsze wtedy, gdy jej nie rozumieją. Piszemy także dlatego, żeby wyrazić naszym własnym głosem nasz system wierzeń i wartości, nasze nastroje i sposób postrzegania świata, naszą duchową i materialną rzeczywistość.

Wszystkie te elementy są widoczne w twórczości autorów negroafrykańskich, w tym diasporycznych, a bez nich nie sposób zrozumieć

naszą literaturę, muzykę, rzeźbę, a od niedawna także malarstwo. Do pojęcia użyteczności musimy dodać także pojęcie całościowości. Jeśli jest prawdą, jak się mówi, że to Czarni wymyślili dania łączone, co jest możliwe, bo wciąż jeszcze pamiętam wyniosłą pogardę, z jaką starszyzna mojego rodu traktowała zwyczaj białych kolonizatorów, polegający na podawaniu każdego dania na osobnym talerzu pomimo niezaprzeczalnego faktu późniejszego mieszania się pożywienia w kolonialnych żołądkach – to właśnie obraz dań łączonych jest chyba najlepszą metaforą naszego postrzegania sztuki jako całości: trubadur jest jednocześnie historykiem, filozofem, poetą, narratorem, muzykiem, gitarzystą i śpiewakiem, a publiczność nie jest jedynie biernym widzem, który ogranicza się do oglądania, słuchania i nagradzania wykonawcy brawami, ale jest aktywnym uczestnikiem choreografii tanecznych, zachęca do śpiewu, rozmawia z trubadurem i współtworzy spektakl, nazwijmy go spektaklem teatralnym, ozdobiony muzyką, wykonywaną także przez publiczność i tancerzy w maskach z symbolicznymi malunkami. Wszystko to tworzy harmonijną całość. Fenomen całościowości był wyraźnie widoczny we wszystkich afrykańskich przejawach kultury, także diasporycznych, takich jak: *Harelm Renaissance* w Stanach Zjednoczonych, *Négritude* na frankofońskich Karaibach, czy negryzm w Ameryce Hiszpańskiej. Ruchy zainicjowane w końcu XIX w. i początkach XX w. a rozwinięte w latach dwudziestych i trzydziestych minionego stulecia, wywarły ożywczy wpływ nie tylko na współczesną kulturę światową w dziedzinie sztuk plastycznych, w muzyce, tańcu itd., ale dały także początek „wybuchom” suwerenności, których kulminacja nastąpiła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku.

Możemy zatem z dumą i uzasadnioną pewnością siebie stwierdzić, że afrykańscy intelektualiści, a zwłaszcza pisarze, przyjęli na siebie awangardową rolę, polegającą na upominaniu się o uznanie godności Afrykanów, co przyspieszyło rozwijający się już wtedy proces dekolonizacji. Afrykańscy myśliciele tamtej epoki ukazali światu jawną sprzeczność: po zakończeniu wojny prowadzonej przeciw rasizmowi i totalitaryzmowi, w zwalczaniu których aktywny udział brały ludy poddane europejskiemu zwierzchnictwu, po zakończeniu walki o wolność i demokrację, duża część ludzkości zamieszkująca kolonie nadal cierpiała z powodu obcej dominacji, niewiele różniącej się od tej, jakiej zostały poddane ludy, które doświadczyły hitlerowskiego barbarzyństwa. Podstawowym pytaniem – wtedy i dzisiaj – jest pytanie o to, czy wolność, demokracja i godność są przywilejem tylko jednej rasy, jednego kontynentu i jednej religii. Afrykańskim i afroamerykańskim intelektualistom udało się dotrzeć do świadomości ludzi na całym świecie z podstawowym przesłaniem: wprowadzanie i podtrzymywanie pokoju na świecie nie może odbywać się przy równoczesnym przemilczaniu zbrodni, przyzwalaniu na wyzysk słabszych i wasalizm, które, choć stanowiły namacalną codzienność w wielu skolonizowanych krajach, były ukrywane pod szyldem „chrystianizacji”

i „cywilizacji”. Mówi o tym Wuj Abeso, archetypiczny bohater jednej z moich powieści, w rozmowie z misjonarzem ze swojej gminy: „wszystkie plemiona mają swoje zwyczaje, a zagadka ich pokojowego współistnienia polega na tym, że każde plemię zachowuje i wypełnia nakazy swoich tradycji, nie krytykując przy tym cudzych amuletów, które otaczają innych opieką”.

Jeśli bez uprzedzeń zagłębimy się w niezbyt odległą historię celem zrekonstruowania prawdziwego biegu dziejów, zauważymy, że Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 r. nie jest niczym innym, jak powtórzeniem najważniejszych postulatów dotyczących wolności i godności, sformułowanych w czasie V Kongresu Panafrykańskiego, zorganizowanego w Manchesterze w 1945 r., w czasie którego uznano, że wartości demokratyczne powinny być powszechne i obowiązujące we wszystkich zakątkach naszej wspólnej planety. W tej samej perspektywie patrzeć należy na ustalenia wcześniejszych kongresów: w Paryżu w 1919 r., w Londynie w 1921 r i w Nowym Jorku w 1927 r. W pamiętnym, ostatnim z wymienionych kongresów wzięli udział W.E.B. Du Bois, Georges Padmore, Nnamdi Azikwe, Jomo Kenyatta, Julius Nyerere i przede wszystkim Kwame Nkrumah i zgodnie uznali, że za priorytet ich przyszłych działań należy uznać zapewnienie państwom afrykańskim wolności politycznej. W ten sposób myśl afrykańska, wzbogacona o wkład afroamerykański, zastąpiła emocje ideami, a uczucia solidnymi argumentami, które zaowocowały powszechną świadomością istnienia problemu kolonializmu i pozwoliły nie tylko na wyzwolenie Afryki, ale także na przywrócenie rodzajowi ludzkiemu racjonalności, wzajemnego szacunku i umiejętności prowadzenia dialogu jako sposobu na rozwiązywanie konfliktów oraz na zakończenie funkcjonowania anachronicznych kłamstw w stylu: „prawo do okupacji”, wymyślone przez potęgę europejskie na Konferencji w Berlinie w 1885 r. Świadczy o tym powołanie ONZ i jego wyspecjalizowanych organów, a także wiele innych ważnych wydarzeń, uznawanych jednak za pomniejsze, a nawet zapomnianych takich, jak: stworzenie pisma i wydawnictwa „Présence Africaine”, założonych w 1947 r. przez Alioune Diopa oraz zorganizowanie Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Czarnych Pisarzy i Artystów w Paryżu we wrześniu 1956 r., na którym byli obecni Aimé Césaire, Léopold Sédar Senghor, Richard Wright, Jacques Rabenananjara, Cheik Anta Diop, Mecerer Cook, John Davis i Jean Price-Mars. Nikt nie może zaprzeczyć, że to właśnie idee i dokumenty, którymi zaowocowało tamto pamiętne spotkanie, nadały kształt relacjom kulturowym, istniejącym między różnymi ludami. Pojęcia, takie jak: różnorodność, wielokulturowość, interkulturowość i dialog między cywilizacjami zostały po raz pierwszy sformułowane przez intelektualistów afrykańskich i korzystnie wpłynęły nie tylko na formę stosunków międzynarodowych, ale także na sposób postrzegania i wchodzenia w relację z „Innym”; to znaczy, w decydujący sposób, jak wtedy mniemaliśmy, przemieniły sposób nawiązywania wzajemnych kontaktów przez ludzi różnych ras, poglądów, religii

i kultur od połowy XX w. aż do dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami nowych prób wskrzeszenia starych idei starej Europy, zawartych w dziełach Hegla i hrabiego de Gobineau, które zasiały ziarno nietolerancji i stały się duchową pożywką dla rasistów i ksenofobów. Bardzo ważne jest byśmy o tym pamiętali tutaj, w sercu Europy. Bo także idee Czarnych intelektualistów, zgromadzonych w Paryżu w 1956 r. przebrzmiałyby bez echa, gdyby nie wsparcie intelektualistów europejskich takich, jak: André Gide, André Breton, Jean-Paul Sartre, Albert Camus lub Théodore Monod, do których szybko dołączyli kolejni: Pablo Picasso, Roger Bastide, Basil Davidson i Michel Leiris. Stąd nasze naleganie na współpracę: bez zbieżności celów, bez wspólnego działania między demokratami afrykańskimi i europejskimi niewiele można osiągnąć. Bo nie chodzi tutaj o walkę jednego tylko kraju, jednego ludu, jednej rasy; walka o wolność i godność dotyczy nas wszystkich i każdego z osobna, przedstawicieli rasy ludzkiej i tutaj w Polsce jest to przez wszystkich rozumiane. Nie da się dzisiaj zakwestionować faktu, że bez tamtego kulturowego „boomu”, owocu oporu, stawianego przez cztery stulecia niewolnictwa i okupacji, kolonializm nie opadłby tak szybko na siłę i nie obróciłby się w anachronizm zaledwie kilka dziesięcioleci później. Mówiąc o tym, konieczne jest przywołanie zachwycającego przykładu prawości i jasności umysłu twórcy teatru epickiego, Bertolta Brechta. Prześladowany przez nazistów, cierpiał trudy uchodźstwa, które nie pozbawiło go jednak woli tworzenia; po wojnie mieszkał w Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD), a jego opór wobec arbitralnej władzy kosztował go utratę życia, został zamordowany przez policję polityczną w młodym jeszcze wieku 58 lat. Mając w pamięci jego słynny wiersz, to my jesteśmy dzisiaj prześladowani, odrzuceni, jako ci, którzy zatruwają „czystość” Europy. Ogrodzenia w Bułgarii i na Węgrzech lub druty kolczaste w Hiszpanii są wznoszone przeciwko nam; ale wraz z nimi znowu pojawia się widmo totalitaryzmu, już widocznego w różnych częściach Europy. O czym będziecie myśleć, gdy nowe gestapo przyjdzie po każdego z Was po kolei, chociaż nie jesteście ani Czarni, ani nie jesteście imigrantami itd. itd.? To dlatego nie możemy się poddać i dlatego powracamy do Brechta: „Słabi nie walczą. Silniejsi walczą może z godzinę. Jeszcze silniejsi walczą wiele lat. Lecz najsilniejsi walczą całe życie. Oni są niezbędni”.

Po pierwszych proklamacjach niepodległości w końcu lat 50. „niezbędni ludzie” Afryki stanęli przed nieco nieoczekiwanym dylematem. Byli ideologami „rewolty kolonialnej”, doradcami polityków do spraw strategii uzyskania suwerenności, bojownikami w ruchach antykolonialnych lub entuzjastycznymi aktywistami uświadamiającymi ludność, zwłaszcza młodzież, odnośnie korzyści płynących z nadchodzącej wolności. Osiągnąwszy cel, musieli wybrać, czy współpracować z nową postkolonialną władzą, poświęcić się kreatywnej pracy na marginesie zmieniających się układów sił politycznych, czy zacząć zwalczać tych, których sami wynieśli na piedestał, gdy tylko zdali sobie sprawę z gorzkiego faktu, że w więk-

szości wypadków nowo wciągnięte na maszty flagi nie oznaczały ani wolności, ani postępu. Dylemat głęboko ludzki. Na naszej drodze spotykaliśmy się z nierozsądną postawą, tak na Zachodzie jak i w samej Afryce, idealizującą intelektualistów i odmawiającą im możliwości zachowań typowo ludzkich. A przecież pisarz, artysta-plastyk lub wykładowca uniwersytecki kierują się takimi samymi uczuciami i interesami, co piekarz, krawiec lub rolnik. Pisanie książek nie przekształca ich autora w bezcielesnego anioła. Pomimo wymaganej od pisarza wrażliwości, jest czymś naturalnym, choć nieusprawiedliwionym, że czasem podporządkuje się on bardziej swojemu żołądkowi niż ideom i zadba raczej o własne bezpieczeństwo niż o prawdę. Trzeba mieć na względzie także tę okoliczność, która nieostrożnym umyka niezauważona: rasa nie determinuje wszystkiego. Wobec niektórych wyzwań, człowiek reaguje tak samo, niezależnie od miejsca i czasu. Nawet jeśli Afrykanie zjednoczyli się przeciw opresji kolonialnej, to szybko pojawiły się między nimi znaczące różnice, rozbieżności metodologiczne, taktyczne, różnice w określeniu priorytetów, a nawet celów, które ukazały różnorodność ideologiczną wcześniej przesłoniętą przez kolonialną dominację. Upraszczając, chodzi o to, że rasa nie jest uniformem, a zatem my, Czarni, nie jesteśmy jednakowi, nawet jeśli tacy się wydajemy na pierwszy rzut oka. Tak, jak działo się to zawsze i jak dzieje się także dzisiaj we wszystkich społeczeństwach i kulturach, każdy człowiek dokonuje swoich wyborów w zgodzie z osobistymi oczekiwaniami i własnym poczuciem bezpieczeństwa. Przytoczmy dwa przykłady: nie wszyscy niemieccy intelektualiści z Republiki Weimarskiej mieli wystarczającą odwagę, by przeciwstawić się nacjonalistycznemu barbarzyństwu, a wręcz przeciwnie, większość naukowców, akademików i innych przedstawicieli elity kulturalnej za wszelką cenę poszukiwała dla siebie wygodnych posad w mrocznych państwowych strukturach. Tak samo było w Związku Radzieckim i w innych państwach „realnego socjalizmu”: akademie naukowe i humanistyczne, środowisko dziennikarskie i światek literacki czerpały zyski z intelektualistów służących stalinizmowi. W Afryce nie jest inaczej, bo ludzka natura nie jest skłonna do heroizmu: tylko nieliczni rzucają wyzwanie niesprawiedliwej władzy, decydując się tym samym na szyderstwa, marginalizację, biedę, więzienie, wygnanie, a nawet męczeństwo, by tylko nie wyrażać uznania dla niegodziwości. Jeśli weźmiemy przy tym pod uwagę brutalną presję totalitarnej władzy, jaką wywiera ona na umysły i ciała, bo tyrania podsyca i sama żywi się ekstremalnym manicheizmem, wymagając niekwestionowanego oddania i całkowitej lojalności, zwłaszcza od tych, którzy mogą wywrzeć pewien wpływ na społeczeństwo, odkryjemy kolejny powód, który uniemożliwia jedność w działaniu intelektualistów wobec opresji Czarnego przez Czarnego, którą zastąpiono opresją Czarnego przez białego kolonizatora. Kolejny i ostatni powód: działamy w krajach słabo rozwiniętych, w których nazbyt często jedyny istniejący przemysł, jedyne źródło dochodów jest w rękach tyra. Warto podkreślić raz jeszcze, że my,

Czarni nie jesteśmy w niczym różni od pozostałych istot zwanych przez Platona „dwunożnymi nieopierzonymi” – chociaż wciąż zachwyca mnie genialna reakcja Diogenesa na tę definicję – a zatem wydaje się czymś nieużytecznym, bo utopijnym, poszukiwanie na naszym kontynencie idyllicznych postaw, nierealnych z punktu widzenia ludzkiej natury.

Trudno przedstawić tutaj pełną i szczegółową historię tego wszystkiego, co miało miejsce w każdym z pięćdziesięciu pięciu państw afrykańskich podczas sześćdziesięciu lat rzekomej „niepodległości”. Tak samo niemożliwe jest opisanie postaw elit kulturalnych każdego narodu wobec wydarzeń, które wywarły wpływ na ich postkolonialny rozwój. Wszyscy jednak jesteśmy świadomi, jaki jest aktualny obraz Afryki, która jawi nam się jako kwintesencja wszelkiego zła: krwawe i dożywotnie dyktatury jako sposób sprawowania władzy; choroby i nawracające plagi głodu; nieustające wojny i niestabilność; chroniczny brak bezpieczeństwa; miliony upokorzonych i bezbronnych uchodźców; niski wskaźnik skolaryzacji, który przekłada się na niewiedzę i pogardę dla wiedzy; skrajne ubóstwo; bieda obywateli, kontrastująca z zawstydzającą korupcją elit; żalosna niewydolność przywódców, nieczułych na cierpienie ludności; zatrważająca instytucjonalizacja okrucieństwa, prowadząca do zwątpienia w istnienie rozsądku, a nawet człowieczeństwa u przywódców; brak ochrony dzieci; bezbronność ludzi starszych; ogromna skala przemocy wobec kobiet; systematyczne łamanie wszelkich podstawowych praw. Wszystkie te dane znajdują odzwierciedlenie zarówno w przerażających wskaźnikach rozwoju społecznego, publikowanych przez instytucje międzynarodowe, jak i w codziennej tragedii, którą bezradnie obserwujemy widząc masową emigrację naszej młodzieży, podejmowaną w poszukiwaniu wymarzonych horyzontów spokoju i dobrobytu. Ale takie są skutki: podstawową przyczyną tych haniebnych zjawisk nie jest nic innego jak nienasycony neokolonializm, który bezlitośnie uprawiają bardzo bogate kraje, przy równoczesnym prowadzeniu „dobroczyнного” dyskursu, podkreślającego domniemaną niezdolność Afrykanina do samodzielności i pokojowego współżycia społecznego; postawa, za którą skrywa się rasizm, wciąż istniejący w relacjach między Europą i Afryką, i na który nakładają się obecnie drapieżne pragnienia ekonomiczne wschodzących potęg, takich jak: Chiny, Indie czy Brazylia. Sytuacja ta czyni z Afrykanów najbardziej żalosne istoty na świecie; oderwani od duchowego zaplecza naszych pierwotnych kultur, w których solidarność była najwyższą wartością; skazani na obezwładniającą nowoczesność, która nie zaspakaja jednak naszych wewnętrznych potrzeb, zamieniamy się w karykatury innych, pozbawieni własnego zaplecza kulturowego, które pozwoliłoby zakwestionować jedyny dyskurs władzy. Odarcie nas ze złudzeń i podzielane przekonanie, że opór wobec niewidzialnych sił, kierujących naszym życiem jest nieskuteczny, ponieważ siły te duszą w zarodku każdą próbę odnowy i na dodatek ośmieszają nas, sprawiają, że może się wydawać, że myśl afrykańska wyczerpała się.

A jednak nie. Panie i Panowie, nasi myśliciele nie poddali się. Afryka wytwarza wiele dóbr kulturowych. My, Afrykanie, znamy nasze problemy lepiej niż ktokolwiek inny, zastanawiamy się nad nimi i proponujemy własne ich rozwiązania.

Ale komu ten wysiłek przynosi korzyść? Kogo tak naprawdę interesuje, co myślimy i mówimy? Czy aby na pewno płynięcie pod prąd jest uzasadnione w momencie, w którym idee podważające istniejący „porządek” są uciszane tysiącem kłamstw, tak samo jak każdy przejaw dysydencji, racjonalności, jak każda propozycja odmienienia naszej trudnej rzeczywistości? Przytoczę tylko jeden przykład, łatwy do sprawdzenia: kraje rozwinięte są przepełnione lekarzami, inżynierami, architektami, nauczycielami i innymi specjalistami, podczas gdy nasze państwa są ich pozbawione; pustka, której nie wypełniają „organizacje pomocowe” i ich funkcjonariusze dobroczynności. I niech mi Państwo uwierzą, zajmuję się tym od lat: to nie „wygoda” w Europie i Ameryce Północnej jest powodem ucieczki naszych kadr. Wobec przerażającej rzeczywistości, jaką obserwujemy, wydawać by się mogło, że to nasza niepodległość poniosła porażkę. Wyciągnięcie takiego wniosku, upraszcza sprawę, strzepuje kurz z dawnych imperialistycznych poglądów i przypomina hipotezy o istnieniu tzw. „państw upadłych”. Jednak z naszego punktu widzenia, nie tylko nie upadły nasze państwa, ale nie są też niemożliwe do skonsolidowania nasze narody ani my, Afrykanie, nie posiadamy specjalnego genu, który czyni nas gorszymi od reszty świata. Uważamy, że po prostu podczas tych sześciu dekad niepodległości bez suwerenności nie sprawdził się narzucony model, model lampeduski, w którym ograniczono się do zastąpienia białych zarządców czarnymi, mającymi „utrzymać stabilizację” w dawnych posiadłościach.

Wszystko, co się dzieje w Afryce od 1956 r. – od niepodległości Sudanu do dzisiaj, wskazuje nam jasno, że nie istnieje prawdziwa wola, by przywrócić Afrykaninowi godność, by uznać jego pełne człowieczeństwo. Wystarczy obiektywnie przeanalizować ostatnie wydarzenia z Wybrzeża Kości Słoniowej, Gwinei Równikowej, Nigru, Rwandy, Togo, Sudanu, Sudanu Południowego, Zimbabwe, Ugandy, Republiki Środkowoafrykańskiej, Kongo-Brazaville czy Gabonu, wymieniając tylko kilka przykładów. A przecież wystarczyłoby wypróbować jedyny jeszcze pozostający model rządzenia, demokrację uczestniczącą. Wystarczyłoby, żebyśmy my, Afrykanie, naprawdę odzyskali możliwość kierowania naszym losem; żeby reprezentowali nas nasi uczciwi i godni rodacy, wybrani z poszanowaniem wolności, zatroskani o dobrobyt wszystkich obywateli; potrzebujemy przywódców, którzy szanowaliby prawa wszystkich obywateli, którzy ceniliby życie ludzkie; potrzebujemy liderów o poświadczonej moralności i sprawności intelektualnej, a nie nieociosanych brutalni wywleczonych z nieznanymi wioskami, nagle podniesionych do wysokiej rangi; potrzebujemy prezydentów i ministrów, którzy mówią aktualnie obowiązującym językiem w dyplomacji, przywódców bez kompleksów w stosunku do nikogo, orientujących się w problemach świata, w którym żyją, którzy

potrafią walczyć o nasze interesy; potrzebujemy, w końcu, odzyskać to wszystko, co oznacza Humanizm, który nie zawiera się jedynie w ksiązkach wypełniających tysiące bibliotek w państwach rozwiniętych. Głęboki humanizm istnieje również w naszych powiedzeniach, w naszej filozofii, w naszych tradycyjnych wartościach, które będą użyteczne w tym stuleciu i które stoją na straży praw wszystkich ludzi. Nie rozpoznajemy się w tym żalonym, karykaturalnym Afrykaninie, którym rzekomo mamy być. W Kampali, Kinshasie, Lomé, Nairobi, Harare lub Malabo, tak jak w Oslo, Madrycie, Paryżu, Waszyngtonie czy Warszawie, złodziej jest złodziejem, a zabójca, zabójcą. Nie poddamy się losowi. Dlatego pisaliśmy i dlatego będziemy pisać, by obnażyć półprawdy, by zdemaskować manipulatorów, bo widzimy, że walka podjęta przez naszych dziadów i naszych ojców jeszcze się nie zakończyła: jeśli oni osiągnęli oficjalną suwerenność, nam i przyszłym pokoleniom przypada w udziale wprowadzenie nas na drogę rzeczywistej wolności i rozwoju.

Jak już zauważyliśmy, nie wszyscy afrykańscy intelektualiści podjęli drogę walki przeciwko nieprawości. Wielu się dostosowało, oddało swoje talenty i wiedzę w służbę władcy i teraz doradzają mu, jak najmocniej uciemieżyć współrodaków, jak najskuteczniej kraść dobra publiczne, usprawiedliwiając przy tym mroczne postępowanie, piorąc brudy, użyczając najemne pióro do pisania pochwał dla następujących po sobie satrapów, do propagowania ich niebezpiecznych poglądów lub podejrzanych interesów. Istnieje nieskończoność przykładów, w Zairze Mobutu, w Togo Eyademy, w Gabonie Omara Bongo, w Kongo Brazaville, w Gwinei Równikowej, Kamerunie, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Zimbabwie itd. Ale bardzo Państwa proszę, aby zrozumieli moją rezygnację z cytowania teraz ich imion i nazwisk: zmarli podlegają historycznej ocenie w naszej literaturze, wielu z nich zostało już usuniętych z pamięci swoich współrodaków, a w przypadku żywych lepiej nie robić im reklamy; zdradzi ich własna biografia; kto jest zainteresowany, może poszperać i odkryć, kto jest dworzaninem na dworze poszczególnych tyranów. Dla nas większe znaczenie ma ukazanie licznych Afrykanów, którzy po uzyskaniu przez kraje afrykańskie oficjalnej suwerenności, doznali upokorzeń, więzienia, wygnania i śmierci z powodu wierności ideom, za które walczyli, z powodu wierności uniwersalnym i odwiecznym prawdom, znanym wszystkim społecznościom i kulturom, z powodu upominania się o Człowieczeństwo, przyrodzone naszemu gatunkowi. Oni zasługują na nasz hołd. Jako że nie sposób wymienić ich wszystkich, pozwoliłem sobie wybrać tylko tych najbardziej emblematycznych, tych, których dzieło pozostanie uznane za nieprzemijające świadectwo uczciwości i prawości, za deontologiczny kodeks, obowiązujący w uprawianym przez nas zawodzie.

Wśród afrykańskich „ludzi niezbędnych”, używając określenia Bertolta Brechta, wyróżnia się **Jacques Rabemananjara**, uczestnik Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Czarnych Pisarzy i Artystów z 1956 r. Urodzony w 1913r., w 1936

r. utworzył i redagował „Revue des Jeunes de Madagascar”, szybko zakazana przez władze kolonialne, pomimo motto: „przemienić się we Francuza, pozostając prawdziwym Malgaszem”. Przeprowadził się do Francji, gdzie studiował filologię klasyczną na Sorbonie. Był współzałożycielem Demokratycznego Ruchu Odnowy Malgaskiej, został wybrany na deputowanego do Francuskiego Zgromadzenia po II Wojnie Światowej, ale nie mógł sprawować swojego mandatu z powodu aresztowania, tortur i skazania na dożywotnie więzienie z powodu oskarżenia go przez Generała Charlesa de Gaulle’a o podburzanie do rebelii, która miała miejsce na Madagaskarze w 1947 r. Uwolniony dziesięć lat później, przebywał z daleka od swojego kraju. Wrócił na Madagaskar w 1960 r. po niepodległości, wielokrotnie był ministrem i wiceprezydentem w czasach rządu socjaldemokraty Philiberta Tsiranany. Zamach stanu z 1972 r., który zapoczątkował tyranie, która sama siebie nazywała „rewolucją”, zmusił go do ponownej ucieczki na dwadzieścia lat. Umierając w Paryżu w 2005 r., zostawił trzynaście poematów, trzy sztuki teatralne, dwa eseje oraz dwie książki, które zawierają jego liczne artykuły, a także jedną powieść.

Felix Ticaya U Tam’si urodził się w Kongo, nazywanym francuskim, w 1931 r. Od piętnastego roku życia mieszkał we Francji, gdzie zajmował się dziennikarstwem i gdzie wydał swój pierwszy poemat *La mala sangre* w 1955 r. Przeciwny klasyfikowaniu go jako poety nurtu *Négritude*, wrócił do swojego kraju po niepodległości w 1960 r. Gorący zwolennik Patrice’a Lumumby, wrócił do Francji, po zabójstwie lidera nacjonalistów. Pracownik UNESCO, zmarł w Paryżu w 1988 r. Jego skromna twórczość – cztery poematy, cztery powieści i trzy sztuki teatralne – jest zakorzeniona w tradycjach afrykańskich, którymi zainspirował późniejsze pokolenia.

Podobna jest biografia Kameruńczyka, **Alenxandra Biyidi Awali**, znanego jako **Mongo Beti**. Urodzony w 1932r., od małego miał świadomość kolonialnej niesprawiedliwości, bo został wyrzucony ze szkoły misyjnej Mbalmayo za uskarżanie się na nią. Za młodu poznał Rubena Um Nyobe, lidera niepodległościowego, który został zamordowany przez wojska francuskie w 1958r. Mongo Beti przeprowadził się do Francji w 1951 r., gdzie studiował literaturę w Aix-en-Provence i na Sorbonie. W 1954 r. ukazała się jego powieść, która uczyniła go sławnym pisarzem, *Ville cruelle*, druzgocząca satyra kolonializmu w jego regionie. Po zabójstwie Nyoby i wobec pogarszającej się sytuacji politycznej w kraju, pozostał na wygnaniu, gdzie wydał czasopismo i napisał dwadzieścia dwie książki prozą oraz esej, w których pisał o dyktaturach afrykańskich i o wspierającym je systemie neokolonialnym. Po przejściu na emeryturę, wrócił do swojego kraju, gdzie zmarł po krótkim czasie, prawdopodobnie otruty, w 2001 r.

Camara Laye urodził się w Gwinei-Conakry w 1928 r. Wykształcił się na mechanika w swoim kraju, dostał stypendium w 1947 r., żeby doskonalić swoje umiejętności we Francji i wykorzystał tę okazję, żeby zdać maturę i studiować

inżynierię. W 1958 r. opublikował *L'enfant noir*, opowieść autobiograficzną, która przysporzyła mu sławy. W *Le regard du roi* przedstawił krytyczną wizję kolonializmu w swoim kraju. Wrócił do Gwinei w 1958 r., zaraz po proklamacji niepodległości. Współpracował z prezydentem Ahmedem Sékou Touré, ale szybko padł ofiarą jego tyranicznych rządów i musiał uciekać z kraju. Na wygnaniu od 1965 r., zmarł w Dakarze, w Senegalu w roku 1980.

Twórczość **Amadou Kouroumy** jest jedną z najbardziej obszernych w literaturze postkolonialnej. Urodził się w 1927 r. w Wybrzeżu Kości Słoniowej. W latach swojej młodości zaciągnął się do jednostki senegalskich strzelców wyborowych w armii francuskiej, w której walczył podczas wojny indochińskiej. Opuścił armię w 1954 r. i wrócił do ojczyzny w 1960 r., zaraz po ogłoszeniu niepodległości. Ponieważ sprzeciwiał się reżimowi Felixa Houphoueta-Boigny'ego, został uwięziony. Uwolniony w 1964 r., otrzymał azyl w Algierii do 1969 r.; przebywał w Kamerunie między 1974 a 1984 r., i w Togo od 1984 do 1994 r., kiedy powrócił do swojego kraju. Po wybuchu wojny domowej w 2002 r., Kourouma określił ją jako „ekstrawagancję, która doprowadzi do chaosu”. Ten ostrzegawczy komentarz wzbudził niechęć do niego prezydenta Larenta Gbagbo, który oskarżył Kouroumę o wspieranie jego przeciwników. Miałem ogromne szczęście, że go poznałem i że mogłem z nim krótko porozmawiać we wrześniu 2001 r., na Festiwalu Teatrów de Aguimes; wydawał mi się bardzo smutny i rozczarowany. Zmarł w grudniu 2003 r., na wygnaniu w Lyonie. Późno zaczął pisać, dlatego jego twórczość ogranicza się do pięciu lub sześciu niezwykle ważnych powieści, w których zapisał swoją gorzką, czasami wręcz rozdzierającą wizję Afryki postkolonialnej. Widać ją już w pierwszej książce pisarza, *Les soleils des indépendances* (1968), która zapoczątkowała prąd, określany przez krytyków „afropesymizmem”, naznaczony głębokim rozczarowaniem, w którym pogrążył się kontynent na skutek wszechobecnych dyktatur i innych wypaczeń, stopniowo doprowadzających do aktualnej sytuacji. W 1994 r. Kourouma opublikował *En attendant le vote des bêtes sauvages*, okrutną satyrę na Gnassingbé Eyadémę, tyrana z Togo, sprawującego rządu w latach 1967–2005. Jego inne książki odzwierciedlają różnorodne rzeczywistości kontynentu, a ich tematyka oscyluje między kolonializmem a potwornymi wojnami, do których rekrutuje się dzieci jako żołnierzy.

Zawsze podziwiałem i obdarzałem szacunkiem **Chinuę Achebe**, bo to on pozwolił mi odkryć moje literackie powołanie, kiedy jako nastolatek przeczytałem *Wszystko rozpada się*, tę do dzisiaj najlepiej sprzedającą się książkę afrykańskiego autora, odrzucaną początkowo wszakże przez wiele wydawnictw, „gdyż fikcja tworzona przez Afrykanów nie ma wartości rynkowej”. Achebe urodził się w 1930 r. Należał do bardzo ważnego pokolenia intelektualistów, takich jak: **John Pepper-Clark**, **Amos Tutola**, **Wole Soyinka**, **Christopher Okigbo**, **Cyprian Ekwensi**, podzielał ich niepokoję w czasie studiów na Uniwersytecie w Ibadanie, które

w 1948 r. dały początek aktywnej działalności, mającej na celu obudzenie antykolonialnej świadomości w Nigerii i w krajach sąsiednich. Postkolonialne zawirowania polityczne z wojną białą jako najistotniejszym wydarzeniem, okazały się decydujące dla jego życia i twórczości. Między rokiem 1972 a 1976 był wykładowcą na Uniwersytecie w Massachusetts. Chociaż po powrocie wykładał na krajowych uniwersytetach, to jego krytyka zamachów stanu i dyktatur oraz ich zgubnego wpływu na jednostki, sprowadziła na niego niechęć nowych władz. Jego poglądy widoczne są w słowach skierowanych do amerykańskich studentów: „Afryka nie jest podobna do żadnego innego miejsca na świecie; na Czarnym Łądzie nie ma prawdziwych ludzi, są jedynie działające *sily*; ludzie nie mówią żadnym zrozumiałym językiem, tylko mruczają coś nazbyt zajęci podskakiwaniem do góry i w dół w nieustającym *delirium*”. Zdecydowanie skrytykował „archetypicznego intelektualistę afrykańskiego, rozwiedzionego z inteligencją z dwóch powodów: statusu i żołądka”. Spuścizna literacka Achebe obejmuje pięć powieści, osiem zbiorów opowiadań, sześć zbiorów poetyckich, cztery książki dla dzieci oraz osiem rozpraw politycznych, historycznych i krytycznoliterackich. Napisałem niewiele tekstów komemoracyjnych po śmierci pisarza, ale uczyniłem wyjątek dla Mongo Betiego i Chinuy Achebe, po jego śmierci w Bostonie w 2013 r. tekst ten pisałem z głębi serca, oplakując jego śmierć jako śmierć osoby mi najbliższej.

Także niezbyt odległa w czasie jest tragiczna śmierć **Soniego Labou-Tansiego**, która miała miejsce w Brazaville, w czerwcu 1995 r. Miał zaledwie czterdzieści siedem lat. Wiadomość dotarła do mnie w trudnym dla mnie momencie, kiedy przebywałem w Liberville, w Gabonie, jako świeżo upieczony uchodźca z „raju” stworzonego przez mojego własnego tyrana, Teodora Obianga Nguemy. Z niepokojem obserwowałem przykry rozwój sytuacji pisarza, którego żona zmarła dwa tygodnie przed nim. Z prasy dowiedziałem się, że przyjaciele pary przygotowali możliwość przetransportowania jej do Francji, gdzie chorzy mogliby otrzymać pomoc medyczną i psychologiczną, ale rząd Kongo odmówił im przyznania wiz wyjazdowych. Najbardziej smutny w tej historii jest fakt, że nie chodziło o dyktatorski reżim, obalony niedługo przedtem przez Konferencję Narodową, ale o z trudem utworzony rząd demokratyczny; prezydent Pascal Lissouba nie był niewykształconym sadystą jak jego poprzednik i jego następca, lecz delikatnym wykładowcą uniwersyteckim, w którym pokładaliśmy nadzieje na zmiany w naszym rejonie. Niewytłumaczalne i niezrozumiałe okrucieństwo, jakie okazał Labou-Tansiemu i jego rodzinie do dzisiaj napełnia mnie przerażeniem i smutkiem. Z czasem zrozumiałem, że podobna złośliwość mogła być tylko wynikiem okrutnej zemsty, logicznej tylko z punktu widzenia małostkowego władcy: bardzo nieliczni są przywódcy afrykańscy, którzy tolerują krytyczne uwagi pod swoim adresem. A powieściopisarz, poeta i dramaturg, o którym mowa, był uważany za jednego z najznamienszych twórców w Afryce, z powodzeniem prowadził tak-

że grupę teatralną. Poprzez pokazywane przez nią spektakle, Labou-Tansi dał się poznać jako człowiek przenikliwy i jednocześnie niewygodny. Chociaż urodził się w Kinshasie, w Demokratycznej Republice Konga, jego rodzina osiedliła się w Brazzaville, w Republice Konga: pamiętajcie, że oba kraje oddziela dzisiaj rzeka, która niegdyś je łączyła, a ich stolice znajdują się po obu jej stronach. *Życie i pól*, jego pierwsza powieść, opowiada o najgorszych wydarzeniach, jakie miały miejsce w postkolonialnej Afryce, przedstawia w przystępny sposób żałosny i absurdalny świat: „Nie szukajmy dłużej powodu, dla którego stworzono człowieka, znaleźliśmy go – mówi jeden z bohaterów – człowiek został stworzony po to, by stworzyć piekło”. W swoim krótkim życiu, Labou-Tansi napisał sześć powieści – wspomnijmy *L'ante-peuple* i *L'etat honteux*, dwanaście sztuk teatralnych i pięć zbiorów poetyckich.

Błagania o niewinnienie wnoszone przez licznych przedstawicieli wspólnoty międzynarodowej nie zapobiegły zamordowaniu **Kena Saro-Wiwy**. Pisarz, producent telewizyjny, ekolog i działacz na rzecz ochrony praw człowieka, został powieszony w listopadzie 1995 r. na rozkaz generała Saniego Abacha, ówczesnego dyktatora Nigerii. Jedyne przewinienie Saro-Wiwy: przewodniczenie Ruchowi na Rzecz Ocalenia Ludu Ogoni, który od 1958 r. nieprzerwanie doświadcza degradacji swojego środowiska w delcie rzeki Niger z powodu działalności koncernów naftowych. Fakt organizowania pokojowych protestów, na które zapraszał rząd i koncerny międzynarodowe i w czasie których przekonywał o konieczności ochrony ludności, kosztował go utratę życia w wieku 44 lat. Kandydat do literackiego Nobla, pozostawił nam piętnaście tytułów rozłożonych między poezję, powieści, teatr i eseje.

Spośród żywych „niezbędnych” Afrykanów, wyróżniają się nazwiska **Wole Soyinka** i **Ngũgĩ wa Thiong'o**. Soyinka, nagrodzony Noblem w 1986 r., urodził się w 1934 r. w Nigerii. Studiował literaturę na Uniwersytecie w Ibadanie, a następnie w Leeds. Powrócił do swojego kraju w 1960 r., po proklamacji niepodległości, aby pogłębić studia nad teatrem afrykańskim, projekt, który rozpoczął w czasie swojego pobytu w Wielkiej Brytanii. Założył towarzystwa teatralne, unowocześnił scenografię, wprowadzając do niej symbolikę, czasem bardzo prostą, innym razem bardziej skomplikowaną, przepełnioną krytyką społeczną, ukazaną jednak w humorystyczny sposób. Wojna białafrańska, rozpoczęta w 1967 r., sprawiła, że z jego dzieł zniknął humor. Zatrzymany za artykuł nawołujący do pokoju, został oskarżony o zdradę i uwięziony; w *Wierszach z więzienia*, Soyinka przedstawia swoje ideały: „Pewnego dnia nauczymy czytać żołnierzy”. Od tamtej pory jego relacje z władzą nigdy nie były łatwe, a punkt kulminacyjny konfliktu przypadł na rok 1995, kiedy pisarz musiał uciekać z kraju na wieść o rozkazie zatrzymania go wydanym przez dyktatora Saniego Abacha. Przygnębiająca wiadomość, która dotarła do mnie podczas pobytu na uchodźstwie w Liberville, upewniła-mnie

w przekonaniu, że szaleństwo naszych tyranów jest nieskończone i nie zatrzyma się przed niczym. Soyinka wykładał na wielu uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, aż do czasu, kiedy po wprowadzeniu demokracji mógł powrócić do Nigerii. Wciąż rozwijająca się twórczość tego dramaturga, poety, powieściopisarza i eseisty obejmuje już sześćdziesiąt tytułów, niezbędnych dla zrozumienia nie tylko rzeczywistości kontynentu, ale także niezmiennego pragnienia Afrykanów i ich niekończącej się walki o godność. To, co wyróżnia twórczość Soyinki, to brak kompleksów i świadomość moralności. Wciąż pobrzmiwają echa jego dyskusji z Léopoldem Sédarem Senghorem, którego koncepcji *négritude*; zbyt upraszczającej, według niego, rzeczywistość, przeciwstawił teorię *tigritude*: „Tygrys nie ogłasza swojej *tygryswatości*; rzuca się na swoją ofiarę i ją pożera” – oznajmił, kiedy odrzucał skargi niektórych pisarzy, mówiących o wstydzie wyrażania się w „językach dawnego wroga”. Dla dogłębnie afrykańskiego Soyinki, w fackie używania języka dawnego kolonizatora nie ma żadnej sprzeczności, bo język jest tylko instrumentem, a istotne jest jak i do czego się go używa. „Dopóki Afryka nie będzie kontrolowała swojego losu, nie odzyska swojego człowieczeństwa”, oświadczył w 2001 r.

Przekonanie to nie jest podzielane przez Kenijczykja, **Ngũgĩ wa Thiong'o**. Urodzony w 1938 r. ten wieczny nominowany do Nobla, studiował na Uniwersytecie w Makerere w Ugandzie. Swoją pierwszą powieść napisał w 1962 r. i poświęcił ją tematyce napięć rasowych, które istniały między Brytyjczykami a antykolonialnym ruchem oporu, ucieleśnionym w ruchu Mau-Mau. Po powrocie do Kenii pracował jako dziennikarz. Jego uwięzienie za obronę wolności słowa tylko zwiększyło jego opór wobec tyranicznych rządów Daniela arapa Moi. Po wyjściu z więzienia, przebywał na uchodźstwie najpierw w Anglii, potem w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał na wielu uniwersytetach. Obiecał nie dotknąć nogą kenijskiej ziemi tak długo, jak trwać w niej będzie dyktatura. Wrócił w 2004 r, ale padł ofiarą napadu w swoim mieszkaniu, podczas którego na jego oczach została zgwałcona jego żona. Ngũgĩ uczynił normę ze swego przekonania o konieczności używania przez Afrykanów własnych języków w literaturze zamiast pisania w „językach imperialnych”. Z tego powodu odmówił pisania w języku angielskim i zaczął publikować w kikuju. Bibliografię pisarza stanowi trzydzieści pozycji różnych gatunków literackich: dramaty, powieści, eseje o tematyce kulturalnej i politycznej.

Będę kończyć. Ale ten przegląd afrykańskich intelektualistów – w którym być może niesprawiedliwie daliśmy pierwszeństwo pisarzom – byłby niekompletny bez przypomnienia wysiłków i poświęceń innych myślicieli, artystów i publicystów, którzy przez ostatnie sześć dziesięcioleci opierali się i przeciwstawiali władzy, która pogrąża czarnego człowieka w otchłani degradacji na jego własnej ziemi, zamiast służyć naszemu rzeczywistemu wyzwoleniu. Każde społeczeństwo,

każdy kraj zna i pamięta o swoich bohaterach. Tutaj mogę wymienić zaledwie kilku muzyków, takich jak Nigeryjczyk **Fela Kuti**, urodzony w Abeokucie, w tej samej miejscowości, co Soyinka; ten działacz na rzecz ochrony praw człowieka zmarł w 1997 r. w wieku 57 lat w wyniku ciężkiej kary, jaką było dwadzieścia lat okrutnego prześladowania. Powinniśmy także oddać hołd przywódcom religijnym takim, jak: **Rafael Nze Abuy**, arcybiskup Malabo w Gwinei Równikowej, któremu, poważnie choremu, tyran Teodoro Obiang zabraniał wyjazdu z kraju do ostatniego momentu i który zmarł w Madrycie w 1993 r.; **Cristophe Munzihirwa**, arcybiskup Bukavu z Demokratycznej Republiki Konga, zamordowany w 2004 r.; **Engelbert Mveng**, jezuita kameruński, teolog, antropolog i historyk, zamordowany w Jaunde w 1995 r. w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach; jego rodak **Jean-Marc Ela**, ksiądz, teolog i socjolog, prześladowany nawet na dalekim uchodźstwie, zmarł w także niejasnych okolicznościach w Vancouver w Kanadzie w 2008 r. Trzeba także pamiętać o wielu dziennikarzach, ekonomistach, wykładowcach uniwersyteckich itd., którzy w najróżniejszych zakątkach naszego kontynentu poświęcili swoje życie, żeby dać nam nadzieję na przyszłą wolność. Im wszystkim i Wam tutaj obecnym, wyrażamy naszą wdzięczność.

(Tłumaczenie: Renata Díaz-Szmidt i Renata Gładysz)